

minkebe

expedition

marsz przez puszcze Gabonu

TEKST:
ANDRZEJ MUSZYŃSKI
ZDJĘCIA:
TOMEK GOLA

Tuż pod szczytem
Grand Inselberg.
Na dole: polany *bai* są
siedliskiem pytonów.
Do nawigacji służą
sowieckie mapy,
kompas i GPS.

– Słyszysz? On tu jest. – Szept Tomka budzi mnie koło północy.

– Niemożliwe. Boją się ognia – mamroczę w odpowiedzi. – Nic nie słyszę. Głośny pomruk za cienką ścianką namiotu oznacza jedno: ewakuację!

Dźwięki suwaków rozpinanych w nerwowym pośpiechu, trzask, cmokanie naszego tragarza Nestora bez wątpienia oznaczające sygnał do ucieczki, chaos, strach, bieganina i kompletna ciemność. Jest nów. Boso, w samej bieliźnie uciekamy w głąb dżungli, rozcinając sobie stopy. Któryś z Pigmejów pierwszy zbliża się do paleńska, roznieca ogień. Zza pni wychylają się dobrze widoczne w blasku płomieni wystraszone twarze. Siedzimy pół godziny przy ognisku. Nagle krzyk Augustina, trzask i kolejna ewakuacja. Słoń przebiegł przez gęste krzaki tuż koło obozu. Nie bał się ognia. Dopiero wtedy przypominam sobie relację z Megatransectu – szaleńczej ekspedycji amerykańskiego ekologa Michaela Faya przez równikowe puszcze Kotliny Konga – o słońcu przewalającym się niczym pociąg towarowy przez obozowisko i o ranach odniesionych przez Faya. Zrozumiałem, że popełniliśmy kardynalny błąd – rozbiliśmy się na *mukongo*, ścieżce słoń. Od tej chwili nasza wyprawa przez puszcze Gabonu, do której zainspirował nas Megatransect, nabiera innego wymiaru.

Minkébé to nazwa jednej z najbardziej dziewiczych, najmniej poznanych, spektakularnych puszczy równikowych świata. Wiele zespołów przyrodników eksplorowało jej południowe krańce, koncentrując się na rejonie inselbergów – kopulastych granitowych wzgórz wynurzających się z morza zieleni. My chcemy przejść całą puszcze.

Naszą Minkebe Expedition rozpoczęliśmy 13 lipca 2008 r., wylatując do Libreville, stolicy Gabonu. Tam czas pochłonęły nam załatwianie dokumentów, laminowanie map i liczne spotkania: z Jurkiem Flisem – misjonarzem i tłumaczem, z polskim konsulem honorowym w Gabonie – Andrzejem Dębskim, oraz przedstawicielami WWF-u.

– To nie węże są największym zagrożeniem. Czarną mambę bardzo trudno spotkać, żmija gabońska nie atakuje niesprogowana. Przez 11 lat mojej pracy nie zdarzyło się żadne ukąszenie. Musicie być za to wyjątkowo ostrożni przy spotkaniach ze słońcami – Pauwel den Wachter, z którym korespondowaliśmy na długo przed przylotem, wspierał nas bezcennymi informacjami i radami, goszcząc naszą trójkę w siedzibie WWF-u.

– Myślisz, że zobaczymy słońce? – upewnialiśmy się.
– Minkébé zamieszkuje największa populacja w całej Afryce, prawdopodobnie 30 tys. osobników – odpowiedział wpatrzony w rozłożone na biurku mapy. – I nie zapominajcie o mrówkach. W razie ataku uciekajcie za wodę – dodał bezbarwnym tonem.



Przygotowania do wyprawy zaczęliśmy pół roku wcześniej. Analizowaliśmy skąpą literaturę o Minkébé, wysyłaliśmy niezliczone maile, wreszcie odbyliśmy długą wizytę w siedzibie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, które udostępniło swe archiwa i wystawiło nam list rekomendacyjny – niezwykle pomocny przy ubieganiu się o pozwolenia na działania na terenie Parku Narodowego Minkébé.

Po kilku intensywnych dniach w Libreville pojechaliśmy z naszym ekwipunkiem do Oyem oddalonego ok. 400 km od stolicy. Czerwona, zakurzona, wyboista droga przebija się przez dżunglę pokrywającą trzy czwarte powierzchni kraju. Księżyc oświetlał rzędy mijanych przez nas ciężarówek załadowanych monstrualnymi pniami. Drewno to po ropie główny towar eksportowy Gabonu, przy którego pozyskiwaniu znajduje zatrudnienie co czwarty mieszkaniec tego półtoramilionowego kraju.

W Oyem nasza wyprawa stanęła pod poważnym znakiem zapytania. Kierownik Parku Narodowego Minkébé, od którego zależało wydanie finalnych pozwoleń, zakwestionował ważność naszych dokumentów. Tyle wysiłku na marne? Po długich negocjacjach telefon do ministerstwa wyjaśnił wątpliwości. Mogliśmy jechać do Minvoul, ostatniego miasteczka przed parkiem.

W Minvoul nieczęsto pojawiają się biali, toteż wieść o naszym przybyciu lotem błyskawicy obiegła miejscowość. Dopadł nas lokalny przedstawiciel WWF-u, który już wszystko wiedział, więc nic nie musieliśmy mu tłumaczyć. Stwierdził, że pomoże nam się uporać z priorytetowym zadaniem, jakim jest skompletowanie zespołu dobrych tragarzy – silnych, wytrzymałych, cierpliwych, pracowitych i znających puszcę. Mnożyły się pytania: Ile kilometrów dziennie zdołamy pokonać? Ilu tragarzy potrzebujemy? Ile żywności? Nikt nie potrafił rozwiązać podstawowych i zarazem najtrudniejszych zagadek logistycznych i aprowizacyjnych. W miejscowej auberge (schronisku), gdzie nocowaliśmy, rozłożyliśmy i sprawdziliśmy sprzęt. Zrobiliśmy ostatnie zakupy na bazarze i przejrzelśmy prowiant, który miał wystarczyć na 20 dni.

Zawsze chciałem zobaczyć taką afrykańską prowincję. W Minvoul ulice były rozświetlone jaskrawymi żółtymi, niebieskimi i czerwonymi światłami. To one tworzą nocny krajobraz gabońskich miast. Zewsząd dobiegało wściekłe dudnienie – Afryka nie byłaby Afryką bez głośnej, natarczywej muzyki. Kobiety wystawiały garkuchnie, wydobywający się z nich gęsty dym stał się po ulicy. Zbliżała się noc, dżungla zaczynała swój koncert. Miasteczko jest znane w Gabonie jako ośrodek medycyny ludowej, w którym stosuje się święty korzeń *ibogi*. Ten niezwykle mocny narkotyk powoduje halucynacje i, w co wierzą wyznawcy rozpowszechnionego tu kultu Bwiti, pomaga skontaktować się z duchami przodków, dotrzeć do najdalszych zakamarków podświadomości i zacząć żyć, respektując duchy i moce lasu.

W Minvoul nieczęsto pojawiają się biali, toteż wieść o naszym przybyciu lotem błyskawicy obiegła miejscowość. Dopadł nas lokalny przedstawiciel WWF-u, który już wszystko wiedział, więc nic nie musieliśmy mu tłumaczyć. Stwierdził, że pomoże nam się uporać z priorytetowym zadaniem, jakim jest skompletowanie zespołu dobrych tragarzy – silnych, wytrzymałych, cierpliwych, pracowitych i znających puszcę. Mnożyły się pytania: Ile kilometrów dziennie zdołamy pokonać? Ilu tragarzy potrzebujemy? Ile żywności? Nikt nie potrafił rozwiązać podstawowych i zarazem najtrudniejszych zagadek logistycznych i aprowizacyjnych. W miejscowej auberge (schronisku), gdzie nocowaliśmy, rozłożyliśmy i sprawdziliśmy sprzęt. Zrobiliśmy ostatnie zakupy na bazarze i przejrzelśmy prowiant, który miał wystarczyć na 20 dni.

Zawsze chciałem zobaczyć taką afrykańską prowincję. W Minvoul ulice były rozświetlone jaskrawymi żółtymi, niebieskimi i czerwonymi światłami. To one tworzą nocny krajobraz gabońskich miast. Zewsząd dobiegało wściekłe dudnienie – Afryka nie byłaby Afryką bez głośnej, natarczywej muzyki. Kobiety wystawiały garkuchnie, wydobywający się z nich gęsty dym stał się po ulicy. Zbliżała się noc, dżungla zaczynała swój koncert. Miasteczko jest znane w Gabonie jako ośrodek medycyny ludowej, w którym stosuje się święty korzeń *ibogi*. Ten niezwykle mocny narkotyk powoduje halucynacje i, w co wierzą wyznawcy rozpowszechnionego tu kultu Bwiti, pomaga skontaktować się z duchami przodków, dotrzeć do najdalszych zakamarków podświadomości i zacząć żyć, respektując duchy i moce lasu.

Zapadła też decyzja – pójdzie z nami sześciu tragarzy: dwóch Bantu, a więc Beatrox i Mepst, oraz czterech Pigmejów: Alex, Nestor, Augustine i Pepe. Z naszymi nowymi towarzyszami wyprawy umówiliśmy się następnego dnia o 8.00 rano. Plan marszu był następujący – z Minvoul, położonego na skraju puszczy, będziemy się kierować na południowy wschód przez inselbergi do Débarcadère Point na rzece Oua. Stamtąd spłyniemy pirogami do miejscowości Makokou. W linii prostej wynosi to ok. 195 km. Ile będzie w rzeczywistości? Nie wiadomo.

O ustalonej godzinie nie było nikogo. Po chwili pojawili się Beatrox i Mepst, ale zaraz zniknęli w poszukiwaniu reszty. Poprzedniego dnia tragarze dostali zaliczkę i po prostu pili w barze. Przyszli kompletnie pijani. Przerażała mnie myśl o 20-dniowym marszu przez dżunglę z niesubordynowanymi Pigmejami.

Pierwszego dnia dotarliśmy do osady Bitugi. O jej istnieniu dowiedzieliśmy się dopiero w Minvoul, bo nie zaznaczono jej na żadnych dostępnych nam wcześniej mapach. Dojścia do wsi broniła szeroko rozlana Ntem, którą musieliśmy przepłynąć dżubankami. Owe pół godziny miarowego wiosłowania okazało się rodzajem preludium dobitnie uświadamiającym mi, w co się pchamy. Pirogi były tak niestabilne, że najmniejszy ruch groził zatopieniem naszego cennego ekwipunku.

– Nie możesz zrobić tego później? – cedził przez zęby Tomek siedzący za mną z aparatem w ręku, gdy drapiąc się po głowie, uruchomiłem prawdziwą wodną huśtawkę.

Bituga okazała się skupiskiem kilku prymitywnych chat otoczonych gęstwiną lasu wdzierającą się na ściany domostw.

– Czy możemy kupić trochę manioku i jakieś mięso dla całej grupy? – pytaliśmy naczelnika.

– Nie mają nic na sprzedaż – tłumaczył Beatrox.

– To co jedzą? – dopytywałem się. Po chwili zobaczyłem kosz wypełniony wielkimi pędrakami. W końcu udało nam się kupić indyka. Wieczorem mieszkańcy urządzili rytualne tańce mające przynieść pomyślność ekspedycji. Nad ogniem wpadali w trans, dźwięk bębnów niósł się po dżungli, a horyzont rozświetlały błyskawice. Gdy wzeszedł księżyc, Pigmeje rozeszli się do domów.

Wstawamy o świcie, czasem wcześniej. Rozniecamy ognisko i przygotowujemy śniadanie – ryż, makaron, kuskus, sardynki z puszki i sos czekoladowy. Przez pierwsze kilka dni jemy też korzenie manioku. Poza tym mamy 6 kg *fu fu* – mąki maniokowej, a także: suszone ryby, trochę ciastek, przyprawy, trzy puszki mięsa, worek fasoli, budynie, kisiel, kawę, herbatę, cukier.

Dziennie pokonujemy średnio 6 km. Odpowiadam za nawigację. Pierwszy idzie maczeter, za nim ja z GPS-em i mapami. Pod koniec dnia mamy siebie nawzajem dość – on moich ciągłych komend, ja jego usprawiedliwianych pomyłek w wyborze drogi. Za nami podąża reszta grupy, którą trudno utrzymać w zwartej kolumnie, głównie ze względu na z natury niezdyscyplinowanych i chadzających własnymi ścieżkami Pigmejów.

Czasem cały dzień brniemy przez gęstwinę monstrualnych traw, w których nie ma czym oddychać. Nieraz po wyjściu z jednego bagna, gdzie grzęzniemy po pas z ciężkimi bagażami na plecach, wchodzimy w kolejne grzędzawisko. Nie ma drzew, za którymi można by się ukryć w razie spotkania słoń.

Czasem wydaje się, że krążymy bez sensu, po czym Pigmeje doprowadzają nas do celu.



Skończyło się *mukongo* – ścieżka słoń. Na dole: walczyliśmy z głodem i wycieńczeniem. Po siedemnastu dniach marszu przez gęszcz znów widzimy słońce.





ANDRZEJ MUSZYŃSKI – rocznik '84, absolwent prawa na UJ w Krakowie, organizuje wyprawy-ekspedycje. Jest miłośnikiem dobrego reportażu. www.andrzejmuszynski.com



PAWEŁ WOJTYSZYN – rocznik '79, kończy prawo na uniwersytecie we Wrocławiu. Jego pasją to wagabundo.pl, czyli włóczenie się po Czarnym Lądzie i kolekcjonowanie sztuki afrykańskiej.



TOMEK GOLA – rocznik '78, absolwent SGH w Warszawie, fotograf, pilot wycieczek zagranicznych, z zamiłowania narciarz. Mieszka w Polanicy Zdroju. www.fikcja.pl



czas: 21 dni
trasa: ok. 200 km
koszt: 8,5 tys zł/os.

– Aleks, *mukongo*! – krzyczę poirytowany, gdy ten utyka w kolejnych chaszczach rozrywających ekwipunek, ubrania i skórę.

Mukongo to słowo-klucz, najczęściej powtarzany wyraz podczas tej wyprawy. W języku baka oznacza ścieżkę słonia. W Minkébé tworzą one gęstą sieć leśnych „autostrad”. Gdy korzystamy z *mukongo*, nie musimy tak często używać maczet. Plecaki zrzucamy koło 14.00–15.00. Wszyscy są już wykończeni. Zwykle godzinę zajmuje nam wycięcie polanki pod obóz, po czym Pigmeje strugają w okamgnieniu ławki i pale, nad kuchnią rozwieszamy obszerną płachtę i długo siedzimy przy ogniu. Śpimy w namiotach. Pierwszego dnia napotykamy na drodze kilka szalaszów, w jakich Pigmeje przebywają podczas polowań.

– Poznaję to miejsce – mówi Pepe. – Tu się wychowałem. Pepe powrócił do domu.

Na początku jedynie słyszymy szelesty w krzakach, ale po dwóch dniach regularnie dostrzegamy świeże tropy słonia. Puszcze Gabonu zamieszkuje słoń afrykański leśny – mniejszy i ciemniejszy, z bardziej okrągłymi uszami niż jego pobratymiec z sawanny. Oba gatunki (dla niektórych

podgatunki) różnią się też ciosami, które u słonia leśnego są skierowane bardziej do dołu. Spotykamy je niemal codziennie. Poruszają się zaskakująco cicho. Po ostrzegawczym krzyku maczetera grupa natychmiast się rozpierzcha. Zwierzęta zwykle odchodzą, zostawiając nas w spokoju. Ale gdy atakują, poziom adrenaliny osiąga maksimum. Pewnego razu, siedząc w obozowisku, słyszymy dobiegające z lasu krzyki i przeraźliwy skowyt, przypominający ryk pantery. Mylimy się co do źródła dźwięku. Przerazone twarze wracających do obozu Pigmejów mówią same za siebie. Słonie zaatakowały naszych tragarzy – trzech na trzech. Musieli się ratować paniczną ucieczką po lianach.

Nestor i Augustine, urodzeni łowcy, po założeniu obozu zwykle wychodzą na rekonesans. Widzą i słyszą to, czego my nie jesteśmy w stanie zarejestrować naszymi zmysłami. Wiedzą, jaki wąż syczy, gdzie są słonie, pierwsi dostrzegają zwierzynę, patrząc na ślady, potrafią ocenić, czy pantera szła ścieżką rano, czy wieczorem, w mgnieniu oka odnajdują właściwą drogę. Czasem wydaje się, że krążymy bez sensu, po czym Pigmeje doprowadzają nas dokładnie do celu. Ich podstawową zasadą jest – nigdy nie wychodzić do puszczy w pojedynkę.

Dziewiątej nocy budzi mnie rozległy harmider w pobliskiej dolinie. Wieczorem Pigmeje napili się kawy, co powinno było

Pigmeje, urodzeni łowcy, widzą i słyszą to, czego nie rejestrują nasze zmysły.

mnie zastanowić. Nabili maczetę na kij, improwizując oszczep, i urządzili krwawą jatkę. Ofiarą padł dorodny samiec dzikiej świni, źródło mięsa na następne pięć dni. Nasze osłabione organizmy potrzebują solidnej dawki energii, więc w ślad za Pigmejami przystępujemy rankiem do prawdziwej uczty. Jest to jednak uczta podszyta strachem – tereny północnego Gabonu były wielokrotnie nawiedzane przez śmiertcionośny wirus Ebola. Naukowcom dotychczas nie udało się ustalić, jakie zwierzę jest jego rezerwuarom i w jaki sposób przenosi się on na człowieka.

Po opuszczeniu systemu rzek Ntem i Kye obieramy azymut na rzekę Mvoung. Pokonujemy strome góry pozbawione *mukongo*. Coraz częściej przecinamy *bai* – rozległe polany odwiedzane przez zwierzynę szukającą wodopoju. Na *bai* wypatrujemy pytonów, które osiągają do 7 m długości. Monotonną walkę z gęstwiną przerywają trzy wydarzenia. Pigmeje znajdują dziką barć, z której wyjmują plastry z miodem – prawdziwy rarytas, zwłaszcza że skończył się nam cukier. Na jednym z górskich grzbietów odnajdujemy kości słonia i dwa piękne ciosy. To niezbity dowód na to, że nie dotarli tu kłusownicy. Niedługo później, idąc ze wzrokiem utkwionym w ziemię, w prześwicie lasu cudem dostrzegam rozległe trawiaste zbocze. Po wyczerpującej wspinaczce w otępiącej duchocie stajemy na szczycie wielkiej bezimiennej góry, skąd podziwiamy zwarty zielony dywan Minkébé. Nie możemy uwierzyć, że przedzieramy się przez ten piekielny gąszcz.

– Światło! – krzyczę szczęśliwy jak dziecko, uzmystawiając sobie, że od kilkunastu dni żyjemy w depresyjnym mroku.

Brak cukru fatalnie wpłynął na naszą kondycję, a brak papierosów poważnie obniżył morale grupy. Pigmeje, nałogowi palacze, stali się nieznośni i drażliwi. Fakt, że na tak wymagające „manewry” nie zabraliśmy wystarczająco dużo papierosów, nie jest tylko zwykłym przeoczeniem. To fundamentalny błąd – tak jak nasza niewiedza, że dla tych leśnych ludzi liczy się tylko tu i teraz, a robienie planów jest im zupełnie obce. Wszystkich nas kosztowało to wiele nerwów.

Tuż przed Mvoung niemalże wpadamy na słonia. Krzyk, hałas, strach i widoczny przez ułamki sekund kolos, któremu stanęliśmy na drodze, wychodząc z gęstych krzaków. Ratując się ucieczką, głęboko ranię dłoń. Nie mogę zatamować krwawienia. Leżę na ziemi, ale na nic zdają się moje krzyki, jako że reszta grupy, łącznie z Mepstem odpowiedzialnym za apteczkę, pognała w przeciwnym niż ja kierunku. Kiedy wracają, jestem już poważnie osłabiony. Musimy wszyscy odpocząć – postanawiamy zostać cały dzień nad rzeką Mvoung i zregenerować siły. Już wiemy, że nie znajdziemy lasu katedralnego. Kompleks olbrzymich drzew w środku Minkébé, którego istnienie przyrodnicy jedynie podejrzewają, był jednym z celów wyznaczonych nam przez WWF. Las miał się znajdować na naszej trasie przed rzeką Mvoung. Skupiamy się więc na pozostałych zadaniach. Dokumentujemy na zdjęciach i materiale filmowym jeden z ostatnich nietkniętych obszarów planety i uwieczniamy odchodzące w niepamięć zwy-



Pirogerzy dopłynęli – przeżyjemy! Na górze: leczymy rany w obozie.

czaje Pigmejów. Szukamy też śladów kłusownictwa, np. łusek po nabojach, by zaznaczyć współrzędne tych miejsc.

Mamy teraz jeden cel: dotrzeć do inselbergów. Nad potokiem rozbijamy główny obóz, z niego wspinamy się na najwyższy – Grand Inselberg (760 m według radzieckich map, nasz GPS wskazuje 719 m n.p.m.). Zdobycie szczytu traktujemy jak osobistą koronację, nagrodę i ucztę dla oka, o której marzyliśmy od początku wyprawy. Długie godziny wpatrujemy się w dywan dżungli pod naszymi stopami, delektujemy się ciszą i omnipotencją przyrody. Spędzamy noc na szczycie, Pigmeje zostają na dole. Stojąc na wąskiej skalistej półce, podziwiamy zachód słońca. Pod nami ryczą słonie. Wsłuchujemy się też w dziwny, nowy dla nas dźwięk. Niesie się, jak szacujemy, nawet na kilkadziesiąt kilometrów. W końcu nie mamy wątpliwości: to wyrąb lasu.

Droga z inselbergów do punktu spotkania z ekipą pirogerów na rzece Oua to już tylko walka z głodem, kontuzjami



W Widudze
– wiosce
Pigmejów
w puszczy.

i ze zmęczeniem. Przez dwa długie dni brniemy przez niekończące się bagna, gąszcze, kolce, a wieczorem czeka nas nagroda w postaci zniechęconych sardynek. Alex ma lekki nawrót malarii, którą natychmiast torpedujemy tabletkami. Odliczamy kilometry, działamy jak automaty. Którejś nocy budzi mnie deszcz – rzęśisty, ciężki, hałaśliwy. Ale czy deszcz może walić o podłogę namiotu? Atakują nas termity! Przepędzony żarem z ogniska wściekły żywy dywan zapada się pod ziemię.

Koło południa 20. dnia wyprawy docieramy do umówionego miejsca. Wszyscy w milczeniu wpatrują się w punkt na wąskiej, pełnej mielizn i zawalonej konarami rzece Oua. Pirogerzy wypłynęli poprzedniego dnia, w sprzyjających warunkach droga w górę rzeki zajmie im dwie doby. Czy dopłyną? Nie mamy z nimi żadnego kontaktu. Zjadamy ostatnie puszki sardynek.

Nestor i Alex wracają z rekonesansu. Twierdzą, że trzeba iść w dół rzeki, bo pirogi tu się nie przedrą. Wybucho żywiona dyskusja, podczas której analizujemy plany awaryjne. Pierwszy: ewakuacja do dróg kompanii drzewnych kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Drugi: budujemy tratwę i płyniemy w dół Oua. Trzeci, ostateczny: liczymy na pomoc konsula i helikopter.

Leżymy, głodujemy, chodzimy wte i wewte, nasłuchując. Czy to dźwięk silnika? Nie, to brzęcząca muchy. Wreszcie drugiego dnia oczekiwania słuch nas nie myli. Z daleka dobiega przerywane warczenie motoru. O wirtuozerii pirogerów przekonujemy się, spływając w dół rzeki. Trudno właściwie mówić o spływie. Min-kébé nie folguje nam do samego końca – mijamy konary, głązy, przedzieramy się przez gąszcz, błądzimy w wodnych labiryntach Oua, przeciągamy łodzie nad zwalonymi ogromnymi pniami, tracimy siły, wypychając je ze ślepych odnóg. Późnym wieczorem nasza 14-osobowa grupa rozbija ostatni obóz nad rzeką.

O 4.00 rano wsiadamy do pirog, w których spędzimy cały dzień. Po kilku godzinach zmagania rzeka wreszcie robi się szersza i głębsza. Z przerażeniem stwierdzamy, że w ciągu doby poziom wody w Oua opadł o jakieś 20–30 cm. Jeszcze jeden dzień i byłaby niespławna. Nad rzeką pojawiają się pierwsi rybacy i w końcu wplywamy na potężną, majestatyczną Ivindo. Wstają na nogi i po trzech tygodniach spędzonych w dżungli, kiedy powinienem mieć po uszy jej monotonię, wpatruję się w osłupieniu w krajobraz. Po raz kolejny dociera do nas, że ujrzelśmy cud natury, zagubiony Eden, perłę Afryki. Nasza ekspedycja dobiega końca. Dopływamy do ujmującego Makokou, miasteczka, które nie zasypia. Idziemy na barwne ulice jeść, pić i tańczyć. ■

NO TO W DROGĘ

Gabon

INFO

- **Powierzchnia:** 268 tys. km².
- **Liczba ludności:** 1,5 mln osób, głównie plemiona Bantu.
- **Religie:** 55–75 proc. chrześcijaństwo, ponadto animiści.
- **Język:** francuski (oficjalny).
- **Waluta:** frank afrykański, CFA (używany w kilkunastu krajach zachodniej i środkowej Afryki); 1 euro = ok. 656 franków.

KIEDY

- W Gabonie jest duszno i wilgotno przez cały rok, jednakże **w porze suchej (od maja do września) temperatury są nieco niższe i wtedy najlepiej odwiedzać kraj.** W porze deszczowej należy się spodziewać silnych ulew.

WIZA

- Najbliższa ambasada Republiki Gabonu znajduje się w Berlinie (www.botschaft-gabun.de). Wiza normalna kosztuje 80 euro, ekspresowa – 120 euro. Przy składaniu dokumentów trzeba przedstawić min. żółtą książeczkę z dowodem szczepienia na żółtą febrę oraz zaproszenie z Gabonu. Nasz zespół takiego nie posiadał, ale udało się dzięki listom rekomendacyjnym i patronatom.

DOJAZD

- Do Libreville latają Air France, British Airways, Swiss. Bilety są bardzo drogie – ok. 6 tys. zł. Można skorzystać z Royal Air Maroc – bilet powrotny z Düsseldorfu do Libreville z przesiadką w Casablanca kosztuje ok. 3 tys. zł. Za podobną kwotę doleci się z Ethiopian Airlines przez Addis Abebę.

KOMUNIKACJA

- Między dużymi miastami najszybciej przemieścimy się **samolotami** Air Gabon. Lot może być atrakcją samą w sobie – w dole widać zwarty dywan puszczy.
- **Jedyna linia kolejowa**, tzw. Transgabonais, biegnie z Libreville do Franceville przy granicy z Kongo. Podróż trwa ok. 11 godz., należy się spodziewać opóźnień.
- **Bus to najtańszy i najpopularniejszy środek transportu.** Bilet na trasie Makokou–Libreville kosztuje 13 000 franków CFA,

podróż trwa ok. 17 godz. Wiele dróg to wyboiste trakty, nie ma mowy o punktualności.

- Po miastach jeżdżą **taksówki**. Kurs kosztuje średnio 1 tys. CFA.

NOCLEGI

- Nocleg **w hotelu** w Libreville kosztuje od 15 tys. franków. Wersja bardziej ekonomiczna (ok. 5 tys. franków za noc) w **auberge** (często są w posiadaniu domów zakonnych). Należy pytać o nie również w prowincjonalnych miasteczkach (ceny podobne).

JEDZENIE

- **Dobrze zje się zarówno w drogich restauracjach w Libreville, jak i w bazarowych garkuchniach.** Królują tu mięso z buszu, maniok i ryż. W droższych lokalach zamówimy pytona, krokodyla, na bazarze kupimy mięso małpy, odyńca oraz mnóstwo owoców i warzyw. Rano serwuje się francuskie śniadania: omlety z bagietkami i kawę. W budkach stojących w większych miastach można kupić smaczne bagietki z awokado i dodatkami. Wyśmienite gabońskie piwo zwie się Regab.

WARTO WIEDZIEĆ

- Najlepiej wziąć euro i wymienić w jednym z banków w Libreville.
- Trzeba pamiętać, że Gabon jest drogim krajem, ceny bywają zachodnioeuropejskie.

ZDROWIE

- **Obowiązkowe szczepienie na żółtą febrę.** Dobrze jest zabrać tabletki uzdatniające wodę (np. na bazie jodyny). Konieczna prewencja antymalaryczna oraz repelenty, długie koszule i spodnie, środki farmakologiczne. W Gabonie występuje najgroźniejsza odmiana malarii, tzw. malaria mózgowca. www.szczepienia.pl

ADRESY

- **Konsulat Honorowy RP** Libreville, Gabon B.P. D 26; tel. (00 241) 73 19 95, faks (00 241) 73 60 97. cabinetdebski@hotmail.com

POCZUJ KLIMAT

- *Gabon, São Tomé and Príncipe* – przewodnik, wyd. Bradt.